

# Świat bez Rosji. Marzenie, o które warto walczyć



**BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI**

Dyrektor „Nowej Konfederacji”

**Jeśli nie zaraz, to za lat kilka czy kilkanaście rozpad Rosji może być ponownie w grze. Powinniśmy być wówczas gotowi**

Główny nurt zachodnich elit mocarstwowych wzdraga się na samą myśl o świecie bez Rosji. Dobrze oddał to tytan amerykańskiej dyplomacji i analizy Henry Kissinger na zeszłorocznym forum w Davos. Uzasadniając wówczas swoją tezę o tym, że tak Ukraina, jak i Zachód powinny się wykazać mądrością i przyznać Rosji część zajętych terytoriów, a jednocześnie nie doprowadzać do miażdżącej klęski Kremla, jeden z architektów pokonania Sowietów podnosił, iż Moskwa jest istotnym czynnikiem europejskiej równowagi od 400 lat i nie należy tracić z oczu płynących z tego tytułu korzyści. Jak również, dodawał, nie powinniśmy wpychać euroazjatyckiego kolosa w ramiona Chin. Z nowszych przykładów, znani i poważani analitycy amerykańscy Lise Howard i Michael O’Hanlon, szukając niedawno na łamach „Foreign Affairs” sposobów na urządzenie powojennego porządku, wyraźnie przestrzegają przed zbyt wielkim zwycięstwem. Przed zadaniem Rosji druzgocącej klęski, mogącej ją zdestabilizować lub, upokorzywszy, pogrążyć w żądzy zemsty. O ile zeszłoroczne dictum Kissingera, wypo-

wiedziane w szczycie antyrosyjskich emocji na Zachodzie, można było zaliczyć do gatunku tych, o których wielu myśli, ale boi się powiedzieć, o tyle obecne argumenty Howard i O’Hanlona są już powtarzane bardzo szeroko i bez wielkich kontrowersji. Świadomie ograniczam się tu do przykładów amerykańskich: elity zachodnioeuropejskie są pod tym względem jeszcze o wiele wobec Kremla łagodniejsze.

Mówiąc krótko: kwiat transatlantycznych decydentów i analityków nie wyobraża sobie wciąż – lub nie chce sobie wyobrazić – świata bez Rosji. Nie jest to przy tym jakaś prosta dysfunkcja imaginarium, ale rzecz głęboko ugruntowana w interesach geostrategicznych (do czego wrócimy później). I jako taka jest pewnym faktem politycznym, z którym należy się liczyć. Nie znaczy to jednak, że trzeba się z nim godzić. Wręcz przeciwnie.

## **Rosja nie jest czymś oczywistym**

Świat bez Rosji jest bowiem nie tylko możliwy, ale i – przynajmniej z punktu widzenia polskich interesów – wielce po-

żądany. I choć w myśleniu politycznym (w szczególności dotyczącym dyplomacji i bezpieczeństwa) należy przede wszystkim zadbać o przygotowanie na czarne scenariusze, to porównywalnie wielkim błędem jak zignorowanie tego imperatywu, jest ograniczenie się tylko do niego. Zmarowane szanse mogą mieć bowiem podobny ciężar gatunkowy co przeoczone zagrożenia. O ile więc podstawą naszej refleksji geostrategicznej powinno być założenie o Rosji nieustająco silnej i groźnej, o tyle właściwym rozwinięciem polskiego myślenia politycznego winniśmy uczynić także warianty odmienne. W tym imperium moskiewskiego słabego, a nawet – zdeintegrowanego.

Jeszcze ćwierć wieku temu ukłon w stronę takiego wariantu uczynił inny tytan amerykańskiej dyplomacji i analityki, Zbigniew Brzeziński. W swojej „Wielkiej szachownicy” rozważał on przecież podział euroazjatyckiego imperium na 3 luźno skonfederowane państwa: Rosję Europejską, Republikę Syberyjską i Republikę Dalekowschodnią. Argumentując, że takie rozwiązanie nie tylko dobrze zabezpieczyłoby interesy USA, ale też sprzyjało rosyjskiej wymianie gospodarczej z Europą, Azją Centralną i Azją Wschodnią, służąc tym samym lepiej także samym Rosjanom.

Przede wszystkim jednak warto pamiętać, że nie tylko przez zdecydowaną większość historii politycznej ludzkości Rosji nie było (i jakoś się żyło), ale że jest ona w stosunkach międzynarodowych bytem względnie nowym i nieoczywistym. Mamy skłonność do postrzegania przeszłości przez pryzmat teraźniejszości. Jednak prawda jest taka, że zanim w 1547 r. Iwan IV Groźny ogłosił się „carem Wszechrusi”, na terenach jego imperium funkcjonowało przez stulecia wiele różnych

państw. Ruś była bardzo długo polityczną wielością, w której hegemoniczna później Moskwa odgrywała przez całe wieki marginalną lub wielce ograniczoną rolę. Na tej wielości – obejmującej zresztą również takie względnie wolnościowe eksperymenty geopolityczne jak republiki nowogrodzka czy pskowska – wykarmiła się zresztą spektakularna ekspansja Wielkiego Księstwa Litewskiego w XIII-XIV w. A następnie – potęga Rzeczypospolitej. Wschodnie ziemie imperium polsko-litewskiego to była, jak pisał Paweł Jasienica, „szczerą Ruś prawosławna”. W związku z tym intronizacja „cara Wszechrusi” z połowy XVI w. była spektakularnym przełomem i oczywistym wielkim wyzwaniem rzuconym Rzeczypospolitej. Oznaczała bowiem pretensje Moskwy do ogromnych połaci państwa polsko-litewskiego.

**Kissinger: Moskwa jest istotnym czynnikiem europejskiej równowagi od 400 lat i nie należy tracić z oczu płynących z tego tytułu korzyści**

Wciąż jednak nie była niczym oczywistym ani trwałym. Wręcz przeciwnie: była próbą przełomu, który wkrótce gwałtownie się załamał. Po śmierci Iwana Groźnego (poprzedzonej iście epickim wyrzynaniem przez samodziernawcę wszystkich głównych grup społecznych, a następnie zabójstwem jedyne go spadkobiercy) doszło do głębokiego kryzysu nie tylko nowego państwa, ale całego systemu społecznego. Do okresu zwanego wielką smutą. Otworzyło to drogę do dy-

mitriad i – co bez porównania ważniejsze, a zbyt słabo nad Wisłą pamiętane – przedsięwzięcia unii polsko-litewsko-moskiewskiej. Która przez krótki czas funkcjonowała (z królewiczem Władysławem Wazą jako carem) i była w sensie geopolitycznym dokładnym przeciwieństwem prób tworzenia państwa rosyjskiego. To dopiero klęska tego przedsięwzięcia, z wygnaniem Polaków z Kremla w 1612 r. (dziś celebrowanym rokrocznie jako główne święto państwowe), otworzyła ostatecznie możliwość powstania Rosji. Można długo spekulować, w jakim stopniu tamta unia miała szanse trwalszego powodzenia.

**Nie tylko przez zdecydowaną większość historii politycznej ludzkości Rosji nie było (i jakoś się żyło), ale że jest ona w stosunkach międzynarodowych bytem względnie nowym i nieoczywistym**

Rzecz jednak w tym, że jest po prostu faktem historycznym, że spektakularne zarzucenie podstawowych założeń tego przedsięwzięcia (w tym tolerancji religijnej) przez Zygmunta III Wazę w trakcie jego realizacji doprowadziło do buntu Moskali i wygnania Polaków z Kremla. A następnie – powstania nowoczesnej Rosji, o tożsamości zaciekle antypolskiej. Na gruncie tzw. historii alternatywnej można sobie spokojnie wyobrazić, że to w oparciu o Warszawę, a nie li tylko Moskwę, mogło się dokonywać dalsze czę-

ściowe lub całkowite jednoczenie Rusi. Jak również brak takiej unifikacji. Unacznia to nieoczywistość istnienia państwa rosyjskiego.

### **Nowa wielka smuta**

Wróćmy teraz do przyszłości. To co było, może się powtórzyć, choć oczywiście nie w stosunku 1:1. Rosja jest, mimo setek lat ludobójczej polityki, wciąż zlepkiem ponad 100 narodów i grup etnicznych rozpostartych na gargantuicznym, największym na świecie terytorium państwowym. Trzymanych pod hegemonią Moskwy żelazną ręką, a niekiedy – brutalnym terrorem. Z jednej strony historia Rosji, pełna trupów nie tylko ludzi, ale całych ludów, doprowadziła do punktu, gdzie państwo to nie może się już tak łatwo rozpaść jak w przeszłości, ponieważ substancje narodowe i etniczne mogące być zarzewiem takiego procesu zostały w wielkim stopniu wyniszczone lub rozcieńczone. Z drugiej jednak strony, całkiem niedawna, niezwykle brutalna pacyfikacja małej Czechenii udowodniła, jak bardzo Kreml lęka się potencjalnej zaraźliwości wszelkiego separatyzmu. A wciąż żywe tradycje lokalne, spadający udział etnicznych Rosjan w ogóle populacji, coraz większe zacofanie i nieatrakcyjność jej modelu państwowego i gospodarczego – czyni potencjalne tendencje odśrodkowe interesującym zagadnieniem przyszłości.

Zwłaszcza, że perspektywy moskiewskiego imperium zasadniczo rysują się fatalnie. Globalna tendencja odchodzenia od paliw kopalnych bardzo wyraźnie naznacza tę dekadę jako ostatnią, w której węglowodory będą rosły na znaczeniu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wkrótce zaczną się ich szybki spadek i wypieranie, które przekształci Rosję

w skansen paliw kopalnych, pozbawiony dużej części wpływów budżetowych i niemający środków na ich efektywne zastąpienie. I nawet jeśli proces ten się opóźni, jawi się jako nieuchronny. Rosyjskie elity o tym wiedzą, i także dlatego, jak się wydaje, podjęły decyzję o inwazji na Ukrainę w lutym ub.r., próbując spektakularnego odwrócenia tendencji i narzucenia Zachodowi poprzez presję wojskową nowej architektury bezpieczeństwa – i nowych *terms of trade*. Kreml wciąż może pokonać Ukrainę, ale szanse na większą przebudowę systemu międzynarodowego, na którą liczył, zmalały radykalnie, jeśli nie zostały zupełnie pogrzebane. Tak więc perspektywa wielkiego, węglowodorowego skansenu, coraz bardziej zacofanego, wydłużającego się (przy jednoczesnym malejącym udziale etnicznych Rosjan w ogólnej populacji), podlegającego rosnącej presji geopolitycznej z każdej strony – klaruje się. Nowa wielka smuta majaczy już na horyzoncie. A wraz z nią – perspektywa kolejnej implozji.

Wojna ukraińska reaktywowała ten wariant. Od dłuższego już czasu zwracam uwagę na to, że z perspektywy Kremla ten konflikt to nie tylko wspomniana swista ucieczka do przodu i próba zatrzymania kursu Kijowa ku światowi tranatlantyckiemu, ale też – walka o przetrwanie. Jeśliby bowiem Ukraina dalej modernizowała się skutecznie, integrując jednocześnie z Zachodem, jej przykład mógłby wysoce prawdopodobnie stać się zaraźliwy. Nie tylko dla krajów południowego Kaukazu czy (kluczowej z perspektywy Kremla) Białorusi, ale także dla samego społeczeństwa rosyjskiego. Zagrożając tym samym wprost moskiewskiemu przedsięwzięciu imperialnemu, jak i państwowemu. Podobnie sądzą kremlowscy stratedzy, co omawiał ostatnio wnikliwie Marek Budzisz

w pracy „Samotność strategiczna Polski”. Możliwość takiego rozwoju wypadków dostrzegają także co bardziej wnikliwi eksperci amerykańscy. Przeważnie, jak mówiliśmy, chcąc go uniknąć. Na to samo wskazuje waszyngtońska polityka dawania Ukrainie pomocy tak, by mogła dalej walczyć, ale nie – by mogła rozgromić Rosję. Wariant implozji jest wszakże w grze i stąd także owe refleksje i działania.

**Rosja jest, mimo setek lat  
ludobójczej polityki, wciąż  
zlepkiem ponad 100  
narodów i grup etnicznych  
rozpostartych na  
gargantuicznym,  
największym na świecie  
terytorium państwowym**

Zachodzi tu zasadnicza różnica interesów między Polską a dalszym Zachodem. Dla nas rozpad Rosji byłby fantastyczną wiadomością, mogącą otwierać nawet perspektywy nowych czasów jagiellońskich. Dla Amerykanów to, oprócz wielkiej niewiadomej i zniknięcia ważnego czynnika euroazjatyckiej równowagi, ryzyko wielkiego wzmocnienia głównego rywala, jakim są Chiny. Któż bowiem byłby w stanie najszybciej spenetrować ewentualny post-rosyjski Daleki Wschód, radykalnie zwiększając swoje zdolności projekcji siły przeciwko Ameryce via Arktyka i uzyskując dostęp do nieprzebranych bogactw naturalnych tych ziem? Chiny, oczywiście. Tak więc Waszyngton, dopóki nie dąży do geostrategicznego samobójstwa, rozpadu

Rosji nie wesprze. Od czasu wspomnianej koncepcji rozczłonkowania tej ostatniej autorstwa Zbigniewa Brzezińskiego (która i wtedy nie zyskała aprobaty Waszyngtonu) wiele wody upłynęło bowiem w Missisipi, a sytuacja międzynarodowa zmieniła się jeszcze bardziej. Dziś Stany są już relatywnie zbyt słabe, a Chiny o wiele za silne, by taki wariant miał dla USA sens. Przeciwnie, stał się dla nich, zamiast szansy – zagrożeniem. Inna rzecz, że można postrzegać jako wielkie historyczne zaniechanie Ameryki, że nie doprowadziła do niego, gdy był na to właściwy czas.

### **Waszyngton, dopóki nie dąży do geostrategicznego samobójstwa, rozpadu Rosji nie wesprze**

Paradoksalnie, w Europie Zachodniej opór powinien być pod tym względem dużo mniejszy. Chiny nie są bowiem dla niej porównywalnym zagrożeniem co dla Stanów. A więc ich ewentualne wzmocnienie Rosji rozpadem – również nie. Na przeszkodzie stoją jednak o wiele silniejsze, ze względów geograficznych i historycznych, związki gospodarcze. Oraz – podobnie jak za Atlantykiem – silnie ugruntowane myślenie o Rosji jako o ważnym czynniku euroazjatyckiej równowagi. To, być może lepiej niż cokolwiek innego, oddaje piękny esej Halforda Mackindera „Geograficzna oś historii”. Klasyk geopolityki argumentował w nim, że to w istocie powtarzające się najazdy koczowniczych ludów z Wielkiego Stepu, ciągnącego się od Ukrainy po Mongolię, stworzyły toż-

samość europejską, a potem zachodnią. To bowiem właśnie poprzez konfrontacje z przerażającymi Hunami czy Wandalami, mieszkańcy Starego Kontynentu zaczęli odczuwać, że są pewną kulturą, a nie tylko geograficzną, całością. Później byli jeszcze Mongołowie czy Turcy seldżuczcy. Wielki Step przez wiele stuleci budził niepokój i grozę – aż Rosja go ustabilizowała. Dziś oczywiście nikt nie martwi się perspektywą najazdów koczowników na koniach. Ale wariantem powstania kilku-kilkudziesięciu nowych państw o nieznanym obliczu, w znacznym być może stopniu z dostępem do broni jądrowej – już tak.

### **Przygotować się na rozpad Rosji**

Dla Polski jednak – podobnie jak dla państw bałtyckich i Ukrainy, a w dalszej kolejności Rumunii i krajów skandynawskich – ryzyko z tym związane jest niczym wobec liczby problemów, które taki wariant rozwiązuje. Na czele z likwidacją lub radykalnym zmniejszeniem zagrożenia ze wschodu, usunięciem fatalnej dla nas, co raz powracającej, tendencji do porozumień niemiecko-rosyjskich i zachodnio-rosyjskich, możliwością odzyskania lub neutralizacji Królewca. Fantastyczne perspektywy implozja Rosji otwierałaby też dla Białorusi, dziś podporządkowanej przez przygniatającą większą potęgę Kremla. Otwierając tym samym zupełnie nowe perspektywy polskiej i regionalnej aktywności nad Niemnem.

Tak więc świat bez Rosji jest zdecydowanie marzeniem, o które warto walczyć. Dziś dalekie, nie jest jednak zupełnie nierealne. Łącznie z tym, że, jak mówiliśmy, mogłaby do niego doprowadzić ewentualna generalna klęska Rosji w wojnie ukraińskiej. Ale i bez tego, dość mało

prawdopodobnego wariantu – wschodnie imperium czekają, jak wszystko na to wskazuje, ciężkie czasy. Jeśli więc nie zaraz, to za lat kilka czy kilkanaście rozpad Rosji może być ponownie w grze.

Dziś Polska jest za słaba, by przeważać szalę i – zwłaszcza wbrew USA i Europie Zachodniej – samodzielnie lub wraz z regionalnymi sojusznikami doprowadzić do generalnej klęski Moskwy w obecnej wojnie. Niekoniecznie musiało tak być, co samo w sobie odsyła nas to po raz kolejny do fundamentalnego problemu miernego wykorzystania ostatnich 34 lat w kategoriach budowania potęgi narodowej i regionalnej. Grunt to jednak uczyć się na błędach i nie zmarnować kolejnych lat. Tak, byśmy przy następnym przesileniu na wchodzie – byli już gotowi.

Polska racja stanu w tym względzie obejmuje więc w mojej ocenie kilka kluczowych elementów. Po pierwsze, budowanie potęgi własnej w każdym jej wymiarze. Nie tylko wojskowym, ale też ogólnopaństwowym, gospodarczym, de-

mograficznym, pod względem konektywności, potencjału intelektualnego itd. Po drugie, na zaawansowanej refleksji strategicznej tego dotyczącej. A więc zejściu z poziomu anegdoty i romantycznych marzeń na poziom intelektualnego i politycznego planowania. Po trzecie, na budowaniu konkretnych zdolności oddziaływania na terenie Rosji. Tak, by w razie pojawienia się tendencji separatystycznych, potrafić dolać oliwy do ognia. Po czwarte, na zjednywaniu dla tej idei elit państw sojusznicznych. Ze względów wyżej omówionych powinien ten wysiłek być w pierwszym rządzie skierowany na region Europy Środkowo-Wschodniej i Skandynawię. Dalej: na Europę Zachodnią, potem na Azję Centralną i Kaukaz. W czwartym dopiero rządzie na Amerykę.

Żyjemy w czasach wielkich zmian. Jedną z nich może być powrót kwestii rozpadu Rosji jeszcze za życia mojego pokolenia. Powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by, jeśli ta szansa nadejdzie, nie być tym razem tylko widzami.